

Wieczny zmierzch

Część pierwsza. Próg

Miasto nie miało nazwy. Można je było rozpoznać po zapachu – wilgotnego betonu, spalin i czegoś zgniłego, co sączyło się z piwnic. W mieście nadal padał deszcz. Padał od tygodni. Ludzie chodzili z podkulonymi głowami, parasole trzepotały jak ranne ptaki, a na szybach autobusów skraplała się szarość.

Kaja poznała Próg przez znajomego z pracy. Miała dwadzieścia trzy lata, pracowała w markecie budowlanym i każdego wieczoru wracała do pustego mieszkania po matce, która wyprowadziła się z nowym partnerem. Nie brakowało jej matki. Brakowało jej czegoś, co sprawiłoby, że ściany przestałyby być tak blisko.

„Szukasz granicy?” – zapytał chłopak o imieniu Tomek, gdy zaciągnęła się papierosem pod zadaszeniem dworca. Miał oczy jak dwie wypalone dziury. „U nas znajdziesz więcej niż granicę. Znajdziesz próg.”

Nie pytała, co znaczy. Poszła.

Pierwsze spotkanie odbyło się w opuszczonej kotłowni pod jednym z blokowisk. Ściany pokrywał grzyb, a powietrze było ciężkie od oleju opałowego i milczenia. Było tam piętnaście osób. Siedzieli w kręgu na zardzewiałych kaloryferach. Nikt się nie uśmiechał. Nauczyciel Głosu – mężczyzna po pięćdziesiątce, z twarzą jak po udarze, półprzymkniętymi powiekami i głosem, który nigdy nie podnosił się powyżej szeptu – powiedział:

„Empatia jest złudzeniem. To bariera. Mur, za którym chowa się tchórzostwo. Jeśli chcecie zobaczyć prawdę, musicie go przekroczyć.” Kaja nie rozumiała wtedy, co znaczy „przekroczyć”. Myślała, że chodzi o medytację. O głodówki. O nocne czuwania.

Pomyliła się.

Próg miał cztery stopnie.

Pierwszy: „Dotknięcie” – adept musiał zadać ból osobie obcej. Nie zabić, nie okaleczyć na stałe. Wystarczyło popchnąć staruszkę na schodach, uderzyć przypadkowego przechodnia w twarz, zniszczyć komuś rzecz, którą kochał. Chodziło o przekroczenie pierwszego oporu. Kaja wybrała kobietę z wózkiem w supermarkecie. Trąciła wózek tak, że potoczył się na stojak z puszkami. Huk był ogłuszający. Kobieta krzyknęła. Kaja poczuła... nic. Potem, w nocy, nadeszła bezsensowność. Ale nie wyrzuty sumienia. Tylko czysty, surowy bezsens.

Myślała wtedy: to wszystko? Tyle strachu, a potem tylko pustka? I to było gorsze niż wyrzuty. Bo gdyby poczuła winę, mogłaby w sobie coś zmienić. Pustka nie dawała żadnego uchwytu. Była jak spanie na lodzie – zimno przenikało, ale nie mogła się ruszyć, bo pod spodem była tylko ciemność.

Drugi stopień: „Bliskość” – ofiarą musiał być ktoś znajomy. Kolega z pracy, sąsiad, dalszy krewny. Kaja wybrała Tomka, tego samego, który ją przyprowadził. Nauczyciel Głosu kazał jej uderzyć go w twarz podczas rytuału. Uderzyła. Tomek uśmiechnął się z rozbitymi wargami. To był test jej lojalności. Zdała.

Po rytuale Tomek zabrał ją na stronę. „Płakałaś” – powiedział. „Pierwszy raz” – odparła. „To minie” – stwierdził. Kaja nie wiedziała, czy to pocieszenie, czy groźba.

Trzeci stopień: „Gniazdo” – tu zaczynała się prawdziwa ciemność. Ofiarą musiał być ktoś bliski. Ktoś, kogo adept naprawdę kochał. Dla Kai była to siostra, Marta. Mieszkała w innym mieście, dzwoniły do siebie raz w tygodniu. Kaja zaprosiła ją do siebie pod pretekstem urodzin. Przez trzy dni udawała normalność. Czuła, jak coś w niej pęka – nie sumienie, ale cienka warstwa, która oddzielała ją od tego, kim się stawała.

Czwartego dnia, podczas rytuału w kotłowni, przywiązała Martę do krzesła. Miała złamać jej trzy palce u ręki. Po kolei. Powoli. I patrzeć jej w oczy.

Złamała pierwszy. Marta krzyknęła tak, jak Kaja nigdy nie słyszała – to nie był ludzki dźwięk, to było trzaskanie się świata. Drugi palec. Kaja płakała, ale ręce jej nie drżały. W środku czuła zimno, które rozlewało się od mostka ku kończynom – jakby ktoś wlewał w nią rtęć. Trzeci. Wtedy ustała. Nie dlatego, że nie mogła. Dlatego, że przestała cokolwiek czuć. Potem Nauczyciel Głosu podszedł i położył dłoń na jej ramieniu.

„Jesteś gotowa” – powiedział. „Czujesz pustkę?”

Czuła. Nie żal. Nie radość. Zimno takie, jakby ktoś wyjął jej kręgosłup i włożył w to miejsce stalowy pręt.

W drodze powrotnej do domu minęła dwie kobiety śmiejące się pod parasolem. Zazdrościła im nie śmiechu – ale tego, że w ogóle potrafią go słyszeć. Dla niej śmiech był teraz tylko wibracją powietrza.

Czwarty stopień: „Przejście”. Rytuał, który wykonywało się w samotności. Opuszczono ją w piwnicy starej pralni. Miała przed sobą ostatnią ofiarę – nikogo z zewnątrz. Siebie. Albo raczej to, co ze sobą zrobiła. Nauczyciel powiedział: „Teraz musisz umrzeć temu, kim byłaś. Bez żalu. Bez wspomnienia. Wtedy otworzy się Cisza.”

Kaja zamknęła oczy. W głowie miała łamane palce siostry. I poczuła, jak jej świadomość – powoli, jak kropla przesączająca się przez pory kamienia – opuszcza ciało.

Przez ułamek sekundy pomyślała: jeszcze mogę się cofnąć. Ale nie wiedziała, do czego miałyby wracać. Do pustego mieszkania? Do ciszy, która nie była Ciszą, tylko zwykłą nieobecnością?

Otworzyła oczy w miejscu, gdzie nie było już deszczu.

Był tylko wieczny zmierzch.